

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

24)

Klara przerwała na chwilę opowiadanie, poczem mówiła dalej:

— Gdy powróciliśmy do rodzinnego kraju, przybraliśmy nazwisko Luttwell, będące panieńskim mamy nazwiskiem. Od tego czasu żyliśmy w ciągłym niepokoju, bo lękaliśmy się, aby nasz prześladowca nas nie odkrył. Naturalnie, nie miałyśmy żadnych środków utrzymania, więc mateczka pracowała ciężko, ja zaś lata całe, niestety, nie umiałam należycie dopomagać jej w pracy. Zachowywałyśmy pod każdym względem nadzwyczajną ostrożność; staraliśmy się przed okropnym człowiekiem zatrzeć wszelkie ślady naszego istnienia, po których mógłby nas odszukać. Wtedy to zwać mnie zaczęło moim drugim imieniem chrzestnym. Nagle zostaliśmy odkryte... nie przez niego, lecz przez jego matkę, której polecił nas śledzić. Wtedy ona... nie mogąc powiedzieć, żeby to była bezwzględnie zła i złośliwa kobieta... zapewniła nas, że mnie uczyni bogatą, pod jednym jednakże warunkiem, a mianowicie, żebym jej oddawała połowę tego, co zarobię. Gdybym się nie zgodziła, groziła, że nie pozostawi mateczki w spokoju, że prześladować ją będzie na każdym kroku, a posiadała podobno niemałe wpływy w sferach wyższego świata i w kołach rządowych. Cóż miałam uczynić? To był dla nas jedyny środek ocalenia. Przysięgłam, że wstąpię do teatru, bo ta pani, z dziwną jakąś intuicją, dla mnie niezrozumiałą, począwszy od dnia, w którym ujrzała mnie po raz pierwszy, z niezwykłym uporem i pewnością siebie twierdziła ciągle, że posiadam talent sceniczny... Kasper! jakże straszny masz wyraz twarzy w tej chwili!

— Powiedz mi, powiedz zaraz! — zawołałem — kto jest ta kobieta?

— Musisz sam wiedzieć o tem najlepiej, bo znaczną część wieczoru na pierwszym przedstawieniu „Franceski” spędziłeś w jej łozie.

Okropny lęk nagle zmroził mi serce.

— Jakże nosi nazwisko... ona i jej syn?... powiedz, ach, powiedz na miłość Boską!

— Colliver... On zowie się Szymon Colliver... Ależ, Kasprze, co ci się stało? Co oznacza straszny twój niepokój?

Wyjałem z kieszeni klamrę złotą, wraz z łańcuszkiem do niej przyczepionym i milcząc podałem Klarze jedno i drugie.

— Co to jest? — zawołała. — On posiada przedmiot do tego podobny... jakby drugą połowę tej samej klamry. Przypominam sobie, że widziałam ją u niego, gdy byłam dzieckiem. Och, mów... mów, błagam!... Czuje, że wraz z tą nową tajemnicą nowe jakieś nieszczęście ma spaść na moją biedną głowę!

— Klaro!... Colliver jest w Londynie, a najmniej był przed tygodniem.

— W Londynie?

— Tak, Klaro... i to on zamordował Tomasza Loveday!

— Zamordował... Tomasza Loveday? Nie rozumiem... nie rozumiem...

Twarz jej pokryła bladeść śmiertelna. Wyciągnęła ręce przed siebie, jakby szukała oparcia. Wreszcie szepnęła:

— Powiedz mi wszystko...

Szybko okrążyłem rozdzielającą nas mogiłę i objąwszy jej kibić ramieniem, rzekłem:

— Jak mnie tu żywym widzisz, mówię szczerą prawdę. Colliver, mąż twojej matki, zdradziecko zamordował mego przyjaciela, ażeby skraść ten oto złoty przedmiot, który trzymasz w ręku. Nadto niegdyś, przed laty, tenże Szymon Colliver, w celu przywłaszczenia go sobie, zamordował mego ojca.

— Twego ojca?

Wysunęła się z mego objęcia i stojąca przy grobie Tomasza, wyprostowana, sztywna, blada, patrzyła na mnie wzrokiem, pełnym nieopisanego przerażenia i wstrętu, mrozącego krew w moich żyłach.

— Tak, mego ojca. A raczej nie... myślę się i wyrażam niedokładnie. Chociaż plan zbrodni wyłożył się w mózgu Collivera, nie jego ręka dokonała zbrodni. Kazał ją spełnić biednemu nędznikowi, którego zabił następnie... niejakiemu Johnowi Railton...

— Ach!

— Klaro, Klaro! Co ci jest? Mów!

— Jestem Jenny, córka Johna Railton.

ROZDZIAŁ VIII.

W jaki sposób spadła zasłona nad ostatnią sceną tragedii „Franceska”.

Zachwiałem się, jakby uderzony śmiertelnym ciosem w serce. Poczem oczy nasze spotkały się i wzajemnie wyczytaliśmy w nich rozpaczliwą prawdę. Rzuciłem się wczas, aby uchronić Klarę od upadku. Oślepiły i jakby uśpiony okropnym letargiem ducha, potykając się co krok na grobach, przeniósłem ją aż pod wrota cmentarza i zatrzymałem się przy nich, z sił wyczerpany, z burzą wrażeń i wzruszeń, szalejącą w głowie.

Chłodna i biała, jak marmur, spoczywała w moich ramionach. W ciągu kilku strasznych minut sądziłem, że nie żyje. Z głębi zbolełego serca wyrwał mi się mimowoli krzyk ohydny:

— Tak może lepiej!

I roześmiałem się głośno — Boże mi przebac! — jakby okrutna sytuacja pomieszała mi zmysły.

Lecz ona nie umarła. Krew, która z twarzy jej uciekła, zaczęła napływać znowu i po cichu tętnić w skroniach. Nie dający się niemal posłyszeć oddech poruszył jej wargami. Pociemniałe oczy rozwarły się na chwilę, następnie zamknęły, a z ust wyszedł szept, pełen bolesnego jęku.

— Klaro! — zawołałem, a głos mój zdawał się rozlegać, jakby przylatywał z wielkiej jakiejś odległości, tak był głuchy i nienaturalny — muszę cię odprowadzić do twego mieszkania. Powiedz, czy masz dość siły, aby pójść wraz ze mną?

Posadziłem ją na kamieniu, na którym grabarze, gdy się czuli zmęczeni, ustawiali zwykle trumny z nieboszczykami. Zaledwie tydzień upłynął, jak ciało biednego Tomasza spoczywało tu chwil kilka. Pochyliłem się, aby usłyszeć jej odpowiedź, a spostrzegłszy niemały trupi spokój na jej bladej twarzy, pomyślałem sobie, jakby było dobrze zasnąć turazem na wieki, nie opuszczając już dziedziny zmarłych i wejść do niej we dwoje, niby prawi dzieźce właściwego cmentarzom zapomnienia i ciszy.

Po chwili powtórzyłem pytanie. Wargi jej poruszyły się, lecz głosu nie wydały wcale.

Spojrzałem na drogę.

Cmentarz położony był dość daleko, na jednym z północnych przedmieści Londynu, a cała otaczająca go okolica wydała mi się w danym momencie zupełnie pusta.

Na szczęście, po krótkim oczekiwaniu, dostrzegłem w dali wlokącego się powoli, starego, czterokołowego fiakra. Pobiegłem naprzeciw i głośnym wołaniem skłoniłem go do zatrzymania się i podjechania pod bramę. Tu, z pomocą woźnicy, wsadziłem Klarę do powozu. Wskazałem mu jej adres, prosząc, aby jechał jak tylko może najprędzej, poczem usiadłem sam przy mojej ukochanej.

Ciągle jeszcze na wpół zemdlona, oparła się o poduszki, stanowiące tylną ściankę wehikułu.

Zmęczony licznymi kursami koń dorożkarski ledwie postępował.

Całą długą drogę milczeliśmy oboje. Ona miała przymknięte powieki, ja zaś nie próbowałem nawet ją pocieszać, bo cóżbym mógł jej powiedzieć? A jednak, widząc piersi Klary falujące wraz z oddechem, Bóg jeden wie, jak gorąco pragnąłem znaleźć myśli i słowa, które mi mogłyby wzmocnić ją na duchu. Lecz mój niemały zdrtwiał i zmęczony mózg nie zdobył się na wyrazy o głębszej moralnej treści, które mi zdołałbym obudzić choćby tylko względne uspokojenie w jej biednym sercu.

Zatrzymaliśmy się nareszcie przed drzwiami skromnego mieszkania.

Tu Klara postarała się zebrać wszystkie siły, aby matki swoim widokiem nie przestraszyć. Ze spuszczonej w ziemię oczami wysiadła z fiakra i o ile mogła najswobodniej, przycisnęła ręką guzik dzwonka.

Chciałem do domu wejść z nią razem.

— Nie, nie! — rzekła spiesźnie. — Pozostaw mnie samą. Jutro do ciebie napiszę, a może nawet wezwę, abyś przyszedł, lecz, przez łitość, nie dziś... Dziśbym mówić nie mogła.

Zanim zdołałem jej odpowiedzieć, znikła za progiem.

Upłynęło dwadzieścia cztery godzin, w ciągu których doznawałem tychże samych męczarni, w jakie pogrążył mnie dzień wczorajszy. Pomimo wątpliwości, budzących się ciągle w moim umyśle, przysięgałem sobie, że nie pozwolę, aby mnie od siebie odepchnęła. Padłem na kolana i w gorętszej może, niż kiedykolwiek, modlitwie, błagałem Boga o zmiłowanie i wzbudzenie w sercu mojej ukochanej łitości nademną. Gotów byłem wyrzec się raz na zawsze myśli zdobycia dziedzicznego skarbu, a również pragnąłem przebaczyć memu wrogowi, mordercy

mego ojca i przyjaciela, nie śledzić go w dalszym ciągu i nie starać się o jego ujęcie, bylebym tylko nie utracił Klary.

Lecz łzy i prośby moje zdawały się nie wzruszać Przedwiecznego, bo w wyobraźni mojej rysowało się nieustannie sterczące groźne widmo Skály Umarłego zasłaniające mi niebiosy.

Tłumnie wczoraj wieczorem zgromadzona w Teatrze Colloseum publiczność, która przybyła dla wysłuchania nowej sztuki, opuściła widownię rozdrażniona i niezadowolona, bo nie grała w niej Klaryssa Lambert. Zastąpiła ją inna aktorka, która nie sprostowała trudnemu zadaniu. Różnica wykonania była ogromna i zbyt widoczna.

W czasie zaś przedstawienia, ta, dla której tylu widzów zapełniło salę teatralną, klęczała w swoim panieńskim pokoiku, przeżywając stokroć bardziej ponurą od „Franceski” tragedję, a miała chyba tylko aniołów Pańskich za słuchaczy.

Doba mijała, gdy z bilecikiem w kieszeni, na którym wyczytać było można tylko następujące wyrazy: „Przyjdź o wpół do czwartej. Klara”. — spieszyłem do jej mieszkania na Old Kensington.

Nieopisanie ciężkie brzemie przyniatało mi serce. Przybywszy zawczasie, przechadzałem się kilkanaście, a może i kilkadziesiąt minut wzdłuż i wszerz ulicy, trapiiony okropnym niepokojem. Gdy nareszcie zegarek wskazał mi oznaczoną godzinę, zapukałem do drzwi. Rozwarły się natychmiast.

W korytarzu czekała na mnie pani Luttwell.

Wydała mi się straszliwie bladą i wyczerpaną. Zdziwiły mnie więc jej słowa, wyrzeczone z wielką prostotą i spokojem.

— Klara była niezdrowa, nie mogła zatem grać wczoraj, lecz pragnie, nie wiem dlaczego, widzieć się z panem.

Zdziwiony, jak już powiedziałem wyżej, bladocią i bolesnym wyrazem twarzy matki Klary, przekonany przytem, że prawdopodobnie nie wie, co zaszło między nami, zatrzymałem się chwilę, aby ją zapytać o stan jej zdrowia.

— Czy w istocie jestem bardzo blada? — odpowiedziała. — Nie czuję się chorą, wcale a wcale. Nie zwracaj pan na mnie uwagi. Jestem dziś nieco bardziej osłabiona niż zwykle, lecz to niema żadnego poważniejszego znaczenia. Zastaniesz pan Klarę w salonie.

I odeszła.

Zapukałem do drzwi salonu, a posłyszawszy „proszę wejść”, wymówione słabym głosem, otworzyłem szeroko podwoje i stanąłem na progu. Równocześnie Klara zbliżyła się do mnie powoli. Była także bardzo blada, a sine kręgi, otaczające jej oczy, świadczyły, że noc spędziła bezsenność. Lecz zachowanie się jej w pierwszej chwili, nacechowane było jakby jakąś niezwykle ostrożnością i lodowatym chłodem.

— Klaro! — zawołałem i wyciągnąłem do niej ramiona.

— Jeszcze nie — odparła, wskazując mi krzesło. — Prosiłam cię, żebyś przyszedł, bo myślałam ciągle o... o tem, o czem dowiedziałam się wczoraj. Pragnę, byś mi opowiedział wszystko... wszystko, rozumiesz, od początku do końca, a co odnosi się do...

— Ależ...

— Niema żadnego ale, Kasprze. Jestem Jenny Railton, a powiedziałeś, że ojca twego zabił mój ojciec. Opowiedz mi więc, jak się to stało?

Była pozornie tak nadzwyczajnie spokojna, ja zaś tak bardzo zmieszany, że zawałałem się w pierwszej chwili, mam-li być szczerym, czy nie. Widząc jednakże, że oczekuje na to, co mam powiedzieć, usiadłem naprzeciw niej i mówić zacząłem.

Opowiedziałem wszystko, nic nie opuszczając i nic nie ukrywając, począwszy od czasu, gdy mój ojciec udał się w świat daleki, aby szukać tajemniczego skarbu, aż do dnia, w którym nikczemna napaść pozbawiła życia mego druha. W ciągu całego, dość długo trwającego opowiadania, Klara ani na sekundę nie spuściła oczu w ziemię, przeciwnie, utkwawszy je w moich, spoglądała ciągle odważnie. Z warg jej krew uciekła, lecz zachowywała się nieustannie tak spokojnie, jakbym jej czytał jakąś wynwentowaną historję o ludziach, którzy nigdy nie istnieli. Raz tylko przerwała mi mowę, gdy powtarzałem słowa, które jej ojciec zamienił z Szymonem Colliverem, gdy się spotkali na Skale Umarłego.

— Czy jesteś pewny, że tak powiedział? — zapytała. — Czy jesteś bezwzględnie pewny, że mówił do niego: „Kapitanie, to twój nóż?”

— Najniezawodniej — odparłem smutnie.

— Więc powtarzasz mi wiernie każde słowo, jakimi do siebie przemawiali?

— O tyle, o ile pamiętam... lecz zdaje mi się, że mam dobrą pamięć.